

Ks. Tomasz Halik, Kocham Kościół mimo wszystko

Osobiście doświadczyłem dużego zranienia ze strony struktur Kościoła. Struktury mi nie pomogły. Poznałem wtedy mistykę. I mistyka mi pomogła.

Zaproponowany przez Laboratorium „Więzi” temat tego wystąpienia – „Kocham Kościół mimo wszystko” – jest bliski memu sercu i mojemu doświadczeniu. Mój nauczyciel, ks. Josef Zvěřina – który pewnie dużo bardziej by zasługiwał na tytuł „czeskiego Tischnera”, jakim czasem się mnie obdarza w Polsce – napisał kiedyś esej „Kościół: moja miłość, mój krzyż”. W tym duchu chciałbym mówić na ten temat.

Miłość do Kościoła to miłość ciężka i trudna. Trochę mi to przypomina Dietricha Bonhoeffera, który mówił o łasce trudnej i ciężkiej, łasce, która nie może być tania. Również miłość do Kościoła musi przechodzić przez doświadczenia, przez trudności, przez różne próby.

Wiara zraniona

Dziś widzimy, że wielu ludzi poszukuje osobistej drogi do Boga. Coraz więcej osób mówi, że najlepiej się modli w pustym kościele lub na przykład w lesie, bez innych ludzi. Zresztą sam Jezus mówił: „Jeśli chcesz się modlić, idź do swojej izdebki i zamknij drzwi”. Ale jeśli się tak zupełnie zamknie drzwi przed innymi, to pojawia się zagrożenie, że będzie z nami tak jak z człowiekiem, który wchodzi na pagórek i stamtąd kocha całą ludzkość. Konkretni ludzie, których spotyka, gdy chce zejść z tej góry – już mu przeszkadzają. Miłość, która nie jest wcielona do konkretnych relacji, np. w rodzinie, może paść ofiarą różnych iluzji czy rozczarowań.

Rzeczywistość, w której żyjemy, to doświadczenie i testowanie prawdziwości naszej miłości. Gdy przygotowuję młodych ludzi do małżeństwa, to zawsze ich pytam, czy są jeszcze w fazie zakochania, czy już się naprawdę kochają. Wiadomo, że etap zakochania charakteryzuje się tym, że człowiek kocha w tym drugim iluzję, jego idealny obraz. Zdarza się, że później ktoś całe życie karze swego partnera za to, że nie odpowiada temu idealnemu przedstawieniu, które on sam stworzył. Dopiero w miłości dojrzałej – gdy relacja przejdzie fazę kryzysu – człowiek jest w stanie kochać drugiego takiego, jakim on jest.

Miłość do Kościoła to miłość ciężka i trudna

Myślę, że podobnie jest w relacji do Boga. Znam bardzo wielu konwertytów, którzy są zakochani w Bogu. Często jest to jednak po prostu projekcja ich idealnego wyobrażenia o Bogu. W takiej sytuacji niewysłuchana modlitwa bywa czasem doświadczeniem pozytywnym i oczyszczającym. Wtedy się okazuje, czy Pan Bóg nie jest dla mnie swego rodzaju automatem, który ma spełniać moje życzenia, do którego mogę wrzucać pieniądze moich modlitw, wiedząc, co może z tego automatu wypaść. Na takie traktowanie innych nie możemy sobie pozwolić w relacjach z naszymi bliskimi, ale czasem próbujemy tak traktować Boga. Dlatego wiara też potrzebuje kryzysów, aby dojrzeć.

W książce „Dotknij ran”, która w tym roku ukazała się w Polsce nakładem Wydawnictwa „Znak”, piszę o wierze zranionej. Uważam, że dopiero zraniona wiara może zrozumieć rany świata i wtedy tylko może być lekarstwem. To zranienie wiary może następować przez wiele frustracji, wiele rozczarowań – wśród nich są także rozczarowania dotyczące Kościoła, rozczarowania, których źródła i przyczyny tkwią wewnątrz Kościoła.

Joseph Ratzinger powiedział, że ten, kto decyduje się naśladować Chrystusa, ma wziąć na siebie również pewne rozczarowania całej Chrystusowej rodziny, czyli Kościoła. Tak jak ktoś, kto wstępuje w związek małżeński, bierze również – oprócz ukochanej osoby – słabości, bóle czy rozczarowania jej rodziny; bierze jej krewnych; bierze ich z całym bagażem.

Wchodząc do Kościoła, bierze się ten Kościół z całym jego bagażem dobra i zła. Kiedy w czasach komunistycznych przygotowywałem wielu ludzi do chrztu, to Kościół, który znali, był Kościołem prześladowanym. Ten Kościół podziemny, który znali, był dla nich argumentem za tym, by stali się ludźmi wierzącymi. Darzyli Kościół zaufaniem – jeśli Kościół tak mówi, to jest to prawdą.

Dziś, kiedy przygotowuję młodych ludzi do chrztu, mówią mi często, że wiara to coś fantastycznego i pięknego, ale z Kościołem nie idzie im już tak łatwo. Ktoś chce kupić u rzeźnika mięso, a mówią mu, że nie może kupić bez kości... Dzisiaj dla wielu ludzi w Czechach Kościół jest raczej argumentem przeciwko, jest pewną przeszkodą w wierze.

Spróbujcie jeszcze raz

W podobnej sytuacji jest wielu z nas, którzy złączyliśmy się z Kościołem i włączyliśmy się w jego życie. Kochamy ten Kościół, ale nie jesteśmy już w nim zakochani. Ta relacja często ma charakterystyczną cechę „pomimo”.

Bardzo lubię tę scenę z Ewangelii, kiedy Chrystus podchodzi do apostołów na brzegu jeziora Tyberiadzkiego. Całą noc łowili ryby, ale nic nie złowili. Od strony psychologicznej jest to bardzo niewygodny moment. Chrystus przychodzi i mówi: „Spróbujcie jeszcze raz”. Można by się spodziewać, że każdego, kto by im tak mówił po całej nocy nieudanych połowów, raczej zrugają i przegonią. Właściwie powinni mu powiedzieć, żeby sobie poszedł. Ale mówią: „ze względu na Twoje imię”, ponieważ to Ty nam to mówisz – spróbujemy jeszcze raz.

W doświadczeniu dojrzałej wiary potrzebne jest to „spróbujcie jeszcze raz”, „a jednak...”. Przecież od tego rozpoczyna się cała relacja Piotra do Chrystusa. Wcześniej Piotr wielokrotnie działał bardzo emocjonalnie, bardzo szybko coś mówił, a za chwilę po prostu się załamywał. Szedł po tafli wody, a potem spojrzał na siebie i zaczął tonąć. Woła: „Ratuj mnie!”. A Jezus mówi spokojnie: „Idź dalej”.

Wiara potrzebuje kryzysów, aby dojrzeć

Również i my od czasu do czasu znajdujemy się w takich sytuacjach, że nic już nie można zrobić. I chcielibyśmy się pozbyć tego problemu. Wtedy słyszymy gdzieś ten głos Chrystusa: „Spróbuj jeszcze raz”. Wtedy – w odpowiedzi – pojawia się ten akt wiary, akt miłości. „Ze względu na Twoje imię spróbuję jeszcze raz”.

Kiedyś napisałem, że gdybym opuścił Kościół, nie mógłbym również ludziom stojącym poza nim i jego granicami służyć ani pomagać w takim stopniu, w jakim staram się to robić obecnie. Miałbym znacznie mniej do rozdawania. Będąc księdzem katolickim, czuję odpowiedzialność za Tradycję, jestem wdzięczny za te wszystkie środki, jakie daje mi Kościół i kapłaństwo do ręki. Ale wszystko zależy od tego, jak będę ich używał. Ważne, żebym nie rozumiał kapłaństwa jako jakiejś z góry przypisanej mi roli. Takie schematyczne myślenie jest problemem. Jeśli ludzie nie mieszczą się w Kościele, to często dlatego, że są rozczarowani Kościołem takim, jaki poznali; nie mogą się zmieścić w tych schematach i rolach, jakie im przypisujemy. Ale przecież najczęściej są to ludzie wierzący i nie chcieliby stracić relacji do Boga. Dlatego ostatnio lubię

powtarzać zdanie Paula Evdokimova: „Wiemy, gdzie Kościół jest, ale nie wiemy, gdzie go nie ma”. Rośnie bowiem wyraźnie ta „szara strefa”, w której można znaleźć albo ludzi, którzy czują, że są wewnątrz Kościoła, ale zachowują wobec niego pewien dystans, albo też innych, którzy zbliżają się do Kościoła z zewnątrz, ale też zachowują dystans. Ostre granice się zacie-
rają. Dziś jest dość dużo chrześcijan „wierzących, ale” i ludzi podchodzących do Kościoła „z dystansem, ale”.

Niektórzy w Kościele obawiają się tych „ale”, oczekują jednoznaczności. Myślę, że ci, którzy tak triumfalistycznie reagują, w gruncie rzeczy nie potrafią żyć ze swoimi własnymi wątpliwościami. Ja natomiast uważam, że trzeba stale pokazywać, iż do przestrzeni wiary należą również krytyczne pytania, niepewność, wątpliwości. Człowiek ma do nich prawo. Nie jesteśmy przecież w stanie wizji błogosławionej, jesteśmy dopiero pielgrzymami w drodze.

Człowiek ma prawo do pytań i wątpliwości

Kto nie potrafi żyć ze swoimi wątpliwościami, często przenosi swój lęk na innych. Wtedy zaczyna z wątpliwościami walczyć, umieszczając je w innych ludziach. Jest to taka projekcja cienia, jak mówił Carl Gustav Jung. Gdy zaś człowiek sobie uświadomi, że to są właśnie jego wątpliwości, następuje wyzwolenie.

Irlandzki filozof Richard Kearney pisze, że dzisiejszy świat jest pełen monstrów. A to dlatego, że demonizujemy innych. Nieprzyjacielem już nie są nieprzyjaciółmi, ale wcieleniem zła czy szatana. A z szatanem przecież nie można dyskutować. Nie można z nim znaleźć jakiegoś rozsądnego kompromisu. Trzeba go zniszczyć.

Richard Kearney cytuje poradę psychoanalityka: jeśli we śnie pojawi się jakieś monstrum, a człowiek miałby odwagę w tym śnie spojrzeć temu potworowi prosto w twarz, to będzie bardzo zaskoczony, że to monstrum wcale nie jest do niego niepodobne. Wręcz przeciwnie – jest podobne. Ale kiedy się dostrzeże, że monstrum jest trochę do człowieka podobne, przestaje być tak niebezpieczne. Być może i w dzisiejszym świecie, gdybyśmy swoim demonizowanym nieprzyjaciołom spojrzeli w twarze – okazałoby się, że wcale się tak bardzo od nas nie różnią!

Bóg w świątyni i poza nią

Obecnie mamy do czynienia w Kościele z wielką falą skandali na tle seksualnym. Kiedy o tym mówię w czeskich mediach, to znajduję się jak gdyby między dwoma kamieniami młyńskimi.

Z jednej strony trzeba powiedzieć, że to nie jest żadna katolicka specjalność, że przecież 80 proc. molestowania odbywa się w rodzinach, że media wykorzystują te fakty do prowadzenia kampanii antykatolickich.

Z drugiej zaś strony nie można popaść w – widoczną w dzisiejszym Kościele – skłonność do bagatelizowania problemu lub sprowadzania go wyłącznie do złośliwej krytyki, wobec której trzeba zewrzeć szeregi i stanąć wokół papieża, by go bronić. Tę ostatnią skłonność widziałem w ostatnich dniach także w polskich kościołach, w gablotach ogłoszeń, gdzie wisiły zachęty do podpisywania petycji w obronie Benedykta XVI.

Całe szczęście, jest też droga środkowa. Arcybiskup Wiednia, kard. Christoph Schönborn, podkreśla, że biskupi austriaccy sami wezwali ofiary nadużyć ze strony księży, aby się zgłosiły. Nie ma lepszego rozwiązania niż otwartość. Kiedy zaś uda się właściwie pozałatwiać bieżące sprawy, trzeba będzie przemyśleć dwa istotne problemy, które ujawniają skandale seksualne wśród duchownych: kwestię seksualności i kwestię władzy w Kościele katolickim. W wielu przypadkach był to bowiem nie tylko problem molestowania, ale także problem wykorzystywania swojej władzy i siły wobec ludzi słabszych, jak również ukrywania i tuszowania problemów przez przełożonych.

„Katolickość” to powszechność, gotowość do dialogu

Niesprawiedliwą krytykę Kościoła w kwestii nadużyć seksualnych także trzeba wziąć na siebie, jako część pokuty za te okrutne wydarzenia. Jeśli na tego typu problem Kościół reagowałby zamykaniem się w wieży czy getcie, bardzo źle by to się skończyło. Tak było w dziewiętnastym stuleciu. Taka była reakcja Kościoła na rewolucję francuską. Taka była też pierwsza reakcja Kościoła na współczesność. Bogu dzięki, na Soborze Watykańskim II Kościół zrozumiał, że idąc tą drogą, stałby się sektą. Ta pokusa zamykania się ciągle jednak jest w Kościele. Kilka lat temu, na zaproszenie „Więzi”, wygłosiłem w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej wykład, w którym po raz pierwszy wprowadziłem rozróżnienie między katolicyzmem a katolickością. „Katolicyzm” jest owocem kontrreformacji, jest protestem przeciwko świeckiej współczesności, prowadzi do definiowania się jako katolicy przeciwko komuś czy czemuś (najczęściej przeciwko Żydom czy poganom). „Katolickość” natomiast to powszechność, to gotowość do dialogu, poprzez który chcemy odnaleźć to, co ludzi łączy. Katolickość jest znakiem, symbolem pełni eschatologicznej. Sobór mówi, że Kościół jest sakramentem, znakiem jedności

całej rodziny ludzkiej. Czyli: wszyscy są wezwani do jedności w Chrystusie. Oczywiście w doczesności ten znak jedności, jakim jest Kościół, zawsze będzie tylko niedoskonałym symbolem.

Tak rozumiany katolicyzm nie może być jedyną możliwą realizacją katolicykości. Taki partykularyzm powodowałby bowiem zanikanie powszechności Kościoła. W tradycji katolickiej funkcjonują pojęcia „Kościół walczący” i „Kościół triumfujący”. Ten pierwszy jest na ziemi, ten drugi już w eschatologicznej pełni. Kościół wojujący, *ecclesia militans*, ma walczyć przede wszystkim z własnymi słabościami, z grzechem, z własną pokusą triumfalizmu. Nie można go utożsamiać z Kościołem triumfującym w niebie, bo wtedy chrześcijaństwo stałoby się religią wojującą – walczącą z innymi i z tymi, co niewłaściwie myślą we własnych szeregach. To byłby jakiś chrześcijański dżihad.

Jesienią ubiegłego roku Benedykt XVI, po powrocie z Czech, powiedział, że Kościół powinien dziś otworzyć swoisty „dziedziniec pogan”. Taki dziedziniec funkcjonował w świątyni jerozolimskiej. Przychodzili tam ci, którzy chcieli być w jakiś sposób złączeni z Bogiem jedynym, ale nie byli Żydami. Papież mówił, że powinniśmy w Kościele stworzyć przestrzeń dla tych ludzi, którzy jeszcze nie znaleźli drogi, ażeby być wewnątrz Kościoła, ale jakoś chcą modlić się do Boga, przynajmniej do tego Boga nieznanego (to z kolei parafraza słów św. Pawła na ateńskim Areopagu).

Może Boża chwała jest dzisiaj gdzieś indziej

Początkowo to sformułowanie o dziedzińcu pogan bardzo mi się podobało. Stwierdziłem, że ja to właśnie staram się robić od dwudziestu lat. Ale potem uświadomiłem sobie, że jednak w takim podejściu jest ukryty pewien triumfalizm Kościoła. Bo czy jesteśmy dziś w takiej sytuacji, że możemy otworzyć dziedziniec dla pogan? Czy nasza świątynia nie jest dziś aż tak zburzona, że pozostała nam tylko ściana płaczu? Czy ci ludzie, którzy poszukują nieznanego Boga, to są, tak jak kiedyś, pobożni poganie? A może to są ludzie ochrzczeni? Może właściwie to są byli chrześcijanie? Może to są dzieci tzw. chrześcijańskiej kultury? Może oni nie znajdują dla siebie przestrzeni w tym, co Kościół im dziś proponuje? A może nawet Pan Bóg opuścił tę swoją świątynię? Może Boża chwała jest dzisiaj gdzieś indziej – na dziedzińcu pogan, albo nawet dalej? Czyż zasłona świątyni już dawno nie pękła? Gdzie zatem szukać Boga? Chyba nie tylko w świątyni, nie tylko nawet na dziedzińcu pogan...

Katolicy bosi i trzewickowi

Niektórych gorszą różnice i napięcia wewnątrz Kościoła. Ja podchodzę do tego problemu wręcz odwrotnie. Staram się pokazywać, że Kościół to coś bardzo szerokiego. Że jest w nim św. Franciszek z Asyżu i św. Tomasz z Akwinu. Że są chrześcijanie w Europie i w Chinach. Że Kościół to coś zupełnie przeciwnego sekcje, bo w sekcje są tylko ci, którzy się z nią całkowicie identyfikują. Kościół natomiast dopuszcza, że można mieć różne poglądy w różnych sprawach. Jest w Kościele i nauka, i liturgia, i tradycja, i duchowość, i moralność. Jedni akcentują to, drudzy co innego.

Osobiście doświadczyłem dużego zranienia ze strony struktur Kościoła. Struktury mi nie pomogły. Poznałem wtedy mistykę. I mistyka mi pomogła. Interpretowałem sobie tę ciemną noc, przez którą przeszedłem. A obecnie jestem bardzo wdzięczny tym wszystkim, którzy mnie wcześniej zranili, bo otworzyli mi głębszy wymiar wiary i dalszy obszar poznania. Gdyby nie oni, byłbym pewnie dzisiaj zadowolonym z siebie prałatem...

Dlatego też podkreślam, że główna linia sporu i podziałów w Kościele nie przebiega między konserwatystami a progresistami, lecz między mądrymi a głupimi. Znam wielu głupich progresistów, którzy stale powtarzają parę swoich haseł. Znam też głupich konserwatystów. Ale znam też inteligentnych konserwatystów. Do takich należy niewątpliwie Benedykt XVI.

Główna linia podziałów w Kościele przebiega między mądrymi a głupimi

Konserwatyzm ma swoje miejsce w Kościele i świecie. Jest to zupełnie naturalne, bo jedni ludzie mają serce bardziej na lewo, inni bardziej na prawo. W społeczeństwie musi być i prawica, i lewica. Ważne, żeby i na prawicy, i na lewicy byli ludzie inteligentni, którzy będą odbierać głosy ekstremistom po każdej ze stron. Potrzebna jest mądra prawica, która będzie zagarniała także ludzi, którzy inaczej może trafialiby w okolice neofaszystów. I potrzebna jest mądra socjaldemokracja, żeby ludzie nie szli w stronę komunizmu.

Podobnie w Kościele – potrzebni są ludzie, którym bardziej będzie chodziło o kontynuację, i inni, którzy będą chcieli większej otwartości. Bardzo ważne, aby między nimi była jakaś nieć porozumienia, aby potrafili prowadzić dialog między sobą. Mądrzy konserwatyści są w Kościele potrzebni także, żeby podjąć rozmowę z lewicowym sekularyzmem. Przed kilku laty Jürgen Habermas i kard. Joseph Ratzinger zakończyli swą dyskusję refleksją, że obaj siebie potrzebują, aby mogli korygować swoją jednostronność. Właśnie o to chodzi.

Znamy historię zakonów w Kościele. Niektóre z nich nieustannie się dzieliły i reformowały. Mamy różne gałęzie franciszkanów, mamy karmelitów bosych i trzewiczkowych, itd. Podobnie może być między świeckimi chrześcijanami. Rzecz jasna, nie chodzi mi o to, żeby w przyszłości katolicy różnili się tym, czy chodzą w butach czy bez, lecz by się – przy wszelkich swoich różnicach – nawzajem szanowali, by nie odmawiali sobie wzajemnie prawa do bycia katolikami. Taka wewnętrzna pojednana różnorodność Kościoła to także szansa dotarcia do ludzi, którzy są poza Kościołem.

Tekst ukazał się w miesięczniku „Więź” nr 10/2010. Jest to autoryzowana wersja wystąpienia ks. Tomáša Halíka podczas spotkania z Zespołem Laboratorium WIEZI 25 kwietnia 2010 roku. Tłum. Tomasz Dostatni OP.